

TREKKING

CZATKAŁ GÓRY ZACZAROWANE

Tekst i zdjęcia / DAMIAN WOJCIECHOWSKI TJ

Czatkał mnie zaskoczył. W Internecie nie ma fotografii ani prawie żadnych informacji na jego temat. Spodziewałem się więc, tak jak po sąsiednim Tałaskim Ała-too, brunatnych, spalonych słońcem, niezbyt stromych gór pokrytych wysuszoną trawą i ogromnymi piargami. Jakież było moje zdumienie, kiedy po dotarciu do ich podnóża zobaczyłem świerkowe lasy, białe, pionowe skały, lodowce i jeziora we wszelkich możliwych kolorach: granatowym, seledynowym, szafirowym, a nawet zielonym...

Zacznijmy jednak od początku. Pasma Czatkalskie położone jest w Zachodnim Tien-szanie, na południe od kirgiskiego Tałasu i na północ od uzbeckiej Kotliny Fergańskiej. Cały region jest oddalony od cywilizacji: dotrzeć do niego można wyłącznie gruntowymi drogami prowadzącymi przez dwie 3000-metrowe przełęcze, zimą często zasypywane lawinami. Brak informacji i komunikacji powoduje, że w odróżnieniu od niedalekiego jeziora Sary-czelek, turystów tutaj prawie w ogóle nie ma. Przez kilka odwiedzonych przez nas dolin przez całe wcześniejsze lato przewinęła się zaledwie jedna grupa z Ukrainy. Właściwie w celach turystycznych i alpinistycznych pojawiają się tu tylko Ukraińcy i Rosjanie. Zazwyczaj wędrują z zachodu na wschód, w kierunku Sary-czeleku lub Zalewu Toktogulskiego, przekraczając po drodze przełęcze w Grzbiecie Czatkalskim. Jeśli więc wybierzemy się w te góry, dla większości

miejscowych pasterzy będziemy często pierwszymi spotkanymi w życiu turystami.

Pasterzy jest zresztą niewiele: w jednej kilkunasto- lub kilkudziesięciokilometrowej długości dolinie żyją najwyżej dwie rodziny. Latem, w pogoni za zieloną trawą dla bydła przesuwały się coraz wyżej. Aż do wysokości 3000 metrów rosną lasy świerkowe lub tujowe, więc można gotować na ognisku. Czabani nie mieszkają w jurtach, tylko w płóciennych namiotach, ponieważ ścieżki prowadzące przez skały lub ogromne rumowiska są tak wąskie, że nie da się przez nie przewieźć większego ładunku. Oczywiście nie ma żadnych znakowanych szlaków, jest za to mnóstwo ścieżek wydeptanych przez bydło. Trzeba więc umieć odróżnić tę główną, wykorzystywaną przez ludzi, od innych – wyznacznikiem jest... obecność końskich odchodów. Kirgizi stuleciami wyciosywali przejścia w skałach i układali trasy z ogromnych głazów,





Sama Kotlina Czatkałska, o długości ponad 100 kilometrów, leży na wysokości ponad 2000 metrów i otoczona jest ze wszystkich stron górami. Na południu rzeka Czatkał przedziera się przez skały, by wylać na ogromną, gorącą Kotlinę Fergańską. To szczególne położenie geograficzne powoduje, że – jak z uśmiechem podkreślają miejscowi Kirgizi (gęstość zaludnienia jest około 25 razy mniejsza niż w Polsce) – w godzinach popołudniowych wiatr zawsze wieje z południa, w kierunku pokrytych lodowcami szczytów. Czasami jest tak silny, że gdy rozstawiliśmy obóz u wlotu jednej z dolin, porwał nawet szturmowy namiot.

Miejscowych czabanów pytałem, dlaczego w górach nie ma jaków. Okazuje się, że zimą spadają tutaj nawet 2 metry śniegu, pod którym zwierzęta nie byłyby w stanie znaleźć trawy. Latem jest bardzo mało opadów i stosunkowo ciepło, jak na taką wysokość, dlatego można tu przyjeżdżać już na początku czerwca i jeszcze na początku września.

Aby dotrzeć w góry, trzeba pokonać szeroki na 20 kilometrów pas niewysokich, spalonych słońcem wzgórz. W ciągu dnia robi się tu naprawdę gorąco! Najlepiej więc dojechać do jednej z dolin samochodem lub wynająć Kirgiza z koniem (około 10 euro za dzień), który powiezie nasze bagaże. Tak właśnie zrobiliśmy. Po kilku godzinach marszu zdejmujemy plecak z grzbietu zwierzęcia i dajemy 6 euro 18-letniemu Timurowi. Timur jest pół Kurdem, pół Rosjaninem. „Chcę kupić nowego konia, ten jest zbyt spokojny. Kiedy gram w ciągnięcie kozła [dwie drużyny na koniach, bijąc się nahajami, próbują przewieźć martwego barana na swoją stronę pola – przyp. aut.], nie biegnie jak trzeba”. Chwali się, że pod opieką ma nawet 1000 baranów. „Rano idziesz na czele, żeby wilki cię widziały, a wieczorem na samym końcu, żeby wilki nie ośmieliły się zaatakować ostatnich owiec”.

Stoimy na dużym skalnym cyplu górującym nad doliną Kara-tokoj (‘czarny las’, czyli las świerkowy). Przed nami rozciąga się



zapierający dech w piersiach widok: u wlotu jezioro, zalewające środek niecki, po prawej stronie świerki, po lewej tuje. Dalej białopomarańczowe, ostre, często niemal pionowe skalne zbocza. Dolina zamknięta jest wysoką, ciemną ścianą, po której spływa język niedużego lodowca. Na prawo biegnie jeszcze jedna, niewidoczna odnoga, a nad nią grzbiet z gigantycznym osuwiskiem. Zaledwie kilkadziesiąt lat temu, podczas trzęsienia ziemi, część góry oderwała się i z wielkim impetem zatarasowała ogromnymi głazami wejście do trzech dolin. W ten sposób powstało kilka jezior, między innymi Kok-kol (‘zielone’). Ten młodszy i mniejszy brat Sary-czeleku może pochwalić się jedną zaletą: nie ma nad nim turystów.

Skały są tutaj twarde jak we włoskich Dolomitach, dlatego natura mogła z nich wybudować sięgające kilkuset metrów pionowe ściany. Stanowią one potencjalny raj dla alpinistów, zwłaszcza że jak na razie zdobyto niewiele szczytów. Najwyższy z nich to Aflatun (4503 m). Góry nie osiągają dużych jak na Tien-szan wysokości, ale ponieważ doliny są wąskie, głęboko wcięte i często zwieńczone lodowcami, a ściany strome i dość pionowe, szczyty robią imponujące wrażenie. Do niższych partii dociera tak niewiele światła, że czasami przez cały rok ogromne śnieżne mosty utrzymują się nad rzekami. Inne częste zjawisko to rzeki, które uchodzą z jezior podziemnymi kanałami.

Rozbijamy pałatkę nad samym jeziorem Kok-kol. Miejsce niczym z pocztówki. Woda zimna i przezroczysta jak szkło. Następnego dnia ruszamy w górę. Wyrażna ścieżka prowadzi przez świerkowy las, a w dole, przez gałęzie widać kilka niewielkich jeziorek. Ponad granicą drzew musimy być bardzo czujni, aby nie zgubić ścieżki

wijącej się wśród niekończących się piargów. W końcu docieramy nad jezioro Kara-tokoj – duże, ma około 2 kilometrów długości. Także powstało dzięki zawaleniu się góry. Jak sama nazwa wskazuje, jest bardzo ciemne, a to oznacza, że również głębokie.

W górnej części doliny Kara-tokoj mieszka Beka

(‘silny’). Do najbliższego sąsiada ma minimum dzień jazdy na koniu. Teraz siedzi nad lazurowym jeziorem i pilnuje stada owiec. Koło niego stoi 5-letni synek i patrzy wielkimi oczami na nas: białych-dziwaków-turystów. Beka ma problem: śnieżna pantera zagryzła jednej nocy 14 owiec. Od sąsiada Arstana (‘lew’) pożyczył strzelbę. Nie mogę uwierzyć: „Przecież pantery trzymają się z daleka od ludzi!”. „Racja” – odpowiada. „Ale kłusownicy tak przetrzebili dzikie koziorożce, że pantera z głodu rzuca się na barany”. Patrzę na jego syna i pytam, czy tutaj nie jest zbyt ciężko dla malucha. Przecież ani ciepłej wody, ani łóżka, ani sedesu, komputera, sklepu. Mycie w potoku i spanie w namiocie przy ognisku. Jeśli zachoruje, lekarza trzeba będzie szukać nawet kilka dni. „Niech się uczy życia czabana” – odpowiada ojciec. Beka ma marzenie: chce wykuć w skałach na tyle szeroką ścieżkę, żeby do jego obozowiska mogły dojeżdżać konie. Na razie udaje się to tylko osłom.

Idziemy dalej, w dolinę. Jasne, skalne ściany stają się coraz bardziej pionowe i uciekają do góry. Wokół nas coraz rzadziej widać tuje. Dochodzimy do jeziora bez nazwy (jak większość tutaj), o przedziwnym, mlecznosiedynowym kolorze. Bierze się on z zawiesiny, który spływa z lodowca. Wyżej dolina zwęża się i podnosi – tam zaczyna się lodowiec. Niestety, jest już późno. Musimy wracać do obozu, by zdążyć przed nocą. Idziemy powoli, to nie Tatry lub Alpy z wydeptanymi trasami, ciągle trzeba patrzeć pod nogi. Wyczerpani doczołgujemy się do namiotu. Ognisko, ryż i spać. Nocą na góry spada straszna nawałnica. Pioruny biją w okoliczne szczyty raz za razem.

Rankiem witają nas idylliczne chmury i mgła nad jeziorem. Ruszamy w następną





dolinę na południe. Postanawiamy rozbić obóz gdzieś wyżej, aby w ciągu jednego dnia móc dotrzeć do końca doliny i wrócić. Zatrzymujemy się przy namiocie Arstana. Pasterz wyraźnie cieszy się, że ktoś go odwiedził. Żona niedawno urodziła, więc została w wiosce. Samotnicze życie w dzikich górach przez całe miesiące to straszna nuda. „Normalnie owce pasą się same. Sprowadzamy je ze szczytów raz na kilka dni. Ale teraz, kiedy grasuje tu śnieżna pantera, lepiej, żeby w nocy były obok nas” – opowiada. Licząca 1000 sztuk otara (‘stado’) pasie się wśród nagich skał tak wysoko, że trudno ją wypatrzeć. Owce skaczą po ścianie jak najlepsze akrobatki. Wieczorem z pasterzami jemy baraninę i makaron z jednej ogromnej miski. Łyżek nie ma, mięso i kluski trzeba brać rękami tak, żeby się nie wyslizgnęły na ziemię. W górze huczy kilkudziesięciometrowy wodospad.

Nazajutrz docieramy na sam koniec doliny, która rozdziela się na kilka mniejszych. Jej dno pokrywają niewysokie wzgórza porośnięte trawą. Biega tutaj samotnie kilkadziesiąt koni Arstana. Pod głównym grzbietem dostrzegamy jezioro. Wygląda na to, że za nim jest przełęcz, którą można dostać się na drugą stronę, tylko nikt nie wie, jak wygląda zejście. Wspinamy się na półkę, za którą otwiera się dolinka zakończona lodowcem, a dalej pionowe, wyciągnięte do góry szczyty. Pośrodku migocze okrągła, ciemnoszmaragdowa tafła. Kolejna pocztówka, od której nie można oderwać oczu. Z jeziora serpentynami wypływa mała rzeczka, nad którą pasie się

samotny koń, najwyraźniej zdziwiony naszym widokiem.

Przenosimy obóz na dół, do miejsca, z którego odchodzi kolejna dolina, wyraźnie węższa niż poprzednia. Nad rzeką wisi śnieżny most sporych rozmiarów. Ze wszystkich stron strome szczyty. Woda przedziera się kilkadziesiąt metrów przez wąską na parę metrów szczelinę. Jest zbyt zimna, by dotrzeć nią do niewielkiego jeziora zagubionego wśród ogromnych głazów – trzeba obejść rozpadlinę z boczem. Idziemy coraz wyżej i wyżej. Po zielonych halach szybko przesuwają się cienie chmur. Za półką przegradzającą dolinę schowane jest jasnoseledynowe jezioro, wypełniające szczelnie przestrzeń między przeciwległymi pasmami gór. Jest ścieżka wśród piargów wydeptana kopytami owiec! Idziemy po stromym zboczu wzdłuż brzegu. Okazuje się, że kilkadziesiąt metrów wyżej leży następne, identyczne jezioro. Okrążamy je i już jesteśmy na lodowcu.

Ze wszystkich stron widać ponure, ostre szczyty, pogoda zmienia się całkowicie. Jest zimno, nad lodowymi ścianami kłębią się ciemne chmury. Trafiamy na początek śnieżycy, więc chowamy się w skalnej rozpadlinie na lodowcu. Wokół szaleje wiatr i w jednej chwili wszystko pokrywa się bielą. Mam jednak nadzieję, że po śniegu wyjdzie słońce. I rzeczywiście! Nagle obydwa jeziora znów stają się intensywnie seledynowe i zaczynają migotać. Ich kolor współgra z żółtawymi skałami dookoła. Samej doliny nie widać – schowana jest za niewysokim wzgórzem. Na dole błękit nieba, a na horyzoncie

ponure, brązowe góry Tałaskiego Ała-Too. Jak zaczarowane! Nie mamy czasu wspiąć się dalej po lodowcu, w coraz węższe przejście między szczytami. Urlop się kończy. Trzeba wracać do cywilizacji.

Choć w linii prostej odległość pasma od Biszkeku wynosi 250 kilometrów, powrót do miasta zajął nam aż 3 dni. Na głównej drodze przecinającej całą Dolinę Czatkałską samochód pojawia się raz na pół godziny lub rzadziej. Kilka busów rusza ze stolicy regionu Kanysz-kija: wieczorem na północ, do Tałasu, a rano na południe, do Ała-buka. W obu wypadkach po kamiennych drogach pokonują przełęcz o wysokości 3000 metrów.

Góry Czatkałskie to idealne miejsce dla tych, którzy lubią samotność i ciszę, a także nie boją się postawić stopy tam, gdzie jeszcze nigdy nie było żadnych turystów. Jedno jest pewne: zrobię wszystko, aby tu jeszcze wrócić.

INFORMACJE PRAKTYCZNE

Do Biszkeku, stolicy Kirgistanu, najlepiej dotrzeć liniami rosyjskimi przez Moskwę lub tureckimi przez Stambuł. Taniej będzie, jeśli polecimy ukraińskimi do sąsiedniej Ałma Aty i busem dostaniemy się do Kirgistanu. Oba kraje nie wymagają wiz.

W Góry Czatkałskie najlepiej dojechać wynajętą terenówką (i umówić się z kierowcą na powrót) – zaoszczędzimy wtedy wiele czasu, bo samochód dowiezie nas do samego podnóża gór. Gaz i podstawowe produkty spożywcze można kupić w Biszkeku. ■